

Nazywam się Ludmiła Uniatowicz z domu Langer.
Urodziłam się 15.VII.1915 r w Samborze. Ojciec - Franciszek był kamieniarzem. Matka miała na imię Franciszka. Było nas 10 w domu - ja byłam najmłodsza. Polityką się nie zajmowałam. Skończyłam 2 kursy seminarium nauczycielskiego, dalej nie mogłam się kształcić, bo ojciec zmarł jak miałam 6 lat. W Samborze mieszkaliśmy na ul. Drohobyckiej nr 13, d. Trybunalskiej. Mieliśmy nieduży domek z bardzo ładnym ogrodem. Mieszkaliśmy naprzeciw więzienia. Idąc od kościoła na naszą ulicę po prawej stronie był sąd, a koło sądu więzienie.

Gdy przestałam chodzić do szkoły, początkowo zajmowałam się pracą w domu, następnie dostałam zajęcie w tzw. małej hurtowni tytoniu, skąd rozprawdzało się papierosy do trafik, zarabiałam 25 zł miesięcznie.

We wrześniu 1939 r. Sambor został zbombardowany. Bombardowanie nie trwało długo, ale niektórzy ludzie zaczęli pakować się i uciekać. My postanowiliśmy, że nigdzie nie pójdziemy, bo nas mogło czekać, to mogło czekać i tu i na drodze. Zostaliśmy więc w domu, a następnego dnia, rano skoro świt Niemcy wkroczyli do Sambora. Jechali samochodami na motocyklach, bardzo elegancko. Nikomu nic nie robili, tylko 2 Żydów rynek zamiatało. Ludzie się pochowali, Żydzi się pochowali, ale za to wyszło paru Ukraińców. Ale oni jeszcze nie wiedzieli co i jak ma się dziać, tak że jeszcze nic takiego nie robili.

Niemcy myli się u nas przy studni. Matka trochę rozmawiała z nimi po niemiecku, siostra też, bo ukończyła szkołę handlową. Niemcy byli 2 tygodnie. Po 2 tygodniach powiedzieli matce, że oni odjeżdżają, a przyjdą Ruscy. Na to moja matka pomimo doświadczeń

z I wojny światowej, ponieważ miała córki, kazała im siedzieć w piwnicy, żeby ich nie pogwałcili, bo taka była pogłoska.

Ja powiedziałam, że się nie boję, że się nie dam i wyszłam do kościoła z koleżankami. Siedziałyśmy w tym kościele i czekałyśmy, kiedy te auta będą jechały, kiedy będziemy mieli drugiego pana. Złożyłyśmy kwiatki na ołtarzu i wyszłyśmy z kościoła. Gdy wyszłyśmy pod górkę jechał czołg. Jeden z żołnierzy wystawił głowę i rozglądał się naokoło. Naprzeciw tego czołgu szli nasi komuniści tzn. dwie panny lekkiego obyczaju i paru robotników z czerwoną flagą. Na mieście było cicho, nikt nie wychodził, nie patrzył się. Jak oni się spotkali, to nie wiem, co tam się działo, czy całowali się, czy nie, bo to w ruskim zwyczaju jest całowanie się. Myśmy prędko poszły zrelacjonować w domu, jak to się działo.

Więzienie było trochę zrujnowane, brakowało trochę dachówek więc co oni pierwsze zrobili - to naprawili kryminał. Zaczęli oczywiście chodzić także po sklepach. Nasze panie wychodząc miały na rękach związane chusteczki, tam gdzie zegarek nosiły, bo Rosjanie zegarki zabierali.

Zaczęliśmy trochę biedować. Ale wieś nam zaczęła pomagać. Przychodzili na rynek, przywozili jarzyny, owoce i zaczęła się handlować. Niestety wynosiło się z domu na targ różne rzeczy, z których mogliśmy korzystać, ale trzeba było sprzedawać, bo trzeba było kupić pszenicę.

Brak kupił specjalny młynek i mieliliśmy tę pszenicę. Nie wolno było trzymać świni, ale coś tam się w komórce trzymało, bo trzeba było jeść przecież.

Ja nie pracowałam początkowo, tylko moja bratowa i siostra były zagonione do torów, żeby robić porządek po bombardowaniach.

Siostra poznała tam lekarkę, której mąż był dyrektorem "żelaznej dorohi". Takiego inżyniera widziałam pierwszy raz w życiu, jak tego pana, ale ta lekarka była przyjemną i sympatyczną kobietą. Raz poprosiła, czy mogłaby przyjść do nas z matką, bo matka chciała się pomodlić do obrazów świętych a u nich nie wolno.

Matka lekarki przychodziła i siedziała z moją matką. Moja matka po polsku, a ona po rosyjsku tak sobie pogadywały i modliły się dużo. Gdy siostra przyszła do lekarki po zastrzyk, to się zdumiała, że ona w spluwaczce zrobiła jajecznicę dla męża. Gdy siostra opowiedziała o tym, matka postanowiła dać trochę naczyń. I siostra jej zaniósła i rondelki, i garnki, i talerze, i garnuszki, i nawet kołdrę.

Inteligencja żydowska, bogatsi żydzi ^{stworzyli} artel i w tym artelu umieścili wszystkie młode kobiety i kobiety mężatki, których mężowie poszli na wojnę - / to były nawet rodziny wojskowych/, żeby je zamaskować. Pani Konaszyńska, żona lotnika była krojczynią. Ona kroiliła, a myśmy z bel materiału, które nam dostarczali, szyły suknie dla Rosjanek, które tam pracowały. Nie płacili nam dużo, tylko kartki na chleb.

Cukier zdobywałyśmy w ten sposób, że stało się w kolejce. W zimie, nawet w największy mróz szło się w nocy, a rano się dopiero dostawało cukier. Młodzież śpiewała, paliła ogień a starsi dochodzili później do kolejki.

Ja zaczęłam pracować, więc nie interesowało mnie tak bardzo to, co się dzieje w kuchni u mojej matki. Zawsze dostałam ten posiłek ciepły, dobry. Siedzieliśmy w domu, bo nie można było nigdzie chodzić na żadne zabawy, do kina, nigdzie.

Jeżeli chodzi o politykę, to się nie zajmowałam, nie obchodziło mnie to. Ale mój szwagier, który był nauczycielem miał

gdzieś schowane radio. On pracował jako skrabipiórka gdzieś na kolei. Słuchał wiadomości z radia i te wiadomości przynosił do domu, rozprowadzał na małych karteczkach.

Siostra bardzo interesowała się polityką i te karteczki czytała. Ja mówiłam - " słuchaj ja muszę zapracować. "

Pracowałam w restauracji, którą Żydzi założyli, a do której przychodzili Ruscy, pili piwo, awanturowali się. Dostałam się tam przez protekcję jako kelnerka. Pan Grejff nauczył mnie handlować, choć ja handlować w ogóle nie umiałam. On mówił mnie tak:

"Niech pani się nigdy nie patrzy, czy to kosztuje rubel, czy dwa, tylko pisze zawsze te 10 kopiejek więcej, żeby pani miała na swoje potrzeby". Jak mnie taki spec nauczył tych rzeczy, to ja później szachrowałam na potęgę. Oprócz mnie i pana Greffa pracowała jeszcze Żydóweczka przy kasie i pan Halpern, adwokat, który był kierownikiem. Ja i pan Griff obsługiwaliliśmy klientów. Do restauracji przychodzili jeść Rosjanie - ale to wyższa szarża. Szarża pośrednia przychodziła jak było piwo. Miałam tam adoratora - pułkownika czy generała. Był to starszy pan, dosyć tęgi, który zawsze zamawiał " "stakańczyk i sałatkę". Jak płacił, gdy pokazywałam mu rachunek na 3 ruble, bo on zostawiał 4, albo 4,5 rubla. Ja mówiłam "spasibo", bo tyle się nauczyłam. Później dobrze umiałam, bo uczyłam się ukraińskiego, to i tego rosyjskiego trochę podłapałam. Bywali także lotnicy, którzy mieszkali w szkole koło mojego domu. Oni zawsze brali bardzo wystawne jedzenie. Ten oficer, który pił te 100 gram i zjadał sałatkę, to ile razy przychodził - 3 razy w tygodniu zostawiał mi papierosy w paczce - 100 papierosów bez ustników. Mój szwagier dużo palił, ale on wysyłał to do obozów dla Polaków, razem ze smalcem i różnymi rzeczami.

Jadałam w restauracji, czasami coś przynosiłam do domu. Chodzili po domach, żeby iść na wybory. Moja mama powiedziała, że przyjdzie, jeśli dostanie kilo cukru. Powiedzieli, że tam będzie sklep-ławoczka i że tam będą andruty, cukierki cukier i wszystko tam będzie. Poszliśmy głosować i mieliśmy prawo coś kupić. Tam był duży sklep, w którym były andruty, cukierki. Oczywiście dzieci się naschędziło. Było tam bardzo wesoło, muzyka grała "Rozkwitali jabłonie i grusze". Bawiło mnie to.

W Samborze było kino w domu żołnierza, ale myśmy nie chodzili, tam chodzili Ukraińcy i Rosjanie. Ale najlepiej było na Sylwestra. Miałam nocną koszulę niebieską z falbankami, długą i ta Rosjanka lekarka przyszła do nas i chciała ją kupić ode mnie, albo pożyczyć. Przychodził do mnie także mój kolega Bolek Drzewiński, który namawiał mnie, żebym sprzedała koszulę.

W Sylwestra ja, moja siostra i bratowa - niestare kobiety poszliśmy do "Sokoła", bo w "Sokole" był ten bal na Nowy Rok. To było warto zobaczyć. My na balkonie pełno ludzi na balkonie, a na dole stoi duża choinka. Rosjanki przyszły w nocnych koszulach w sukienkach - co one miały na sobie.... - Wszystko co ludzie mieli niepotrzebnego, to im sprzedawali albo dali za darmo. Byli oczywiście i chorzy ze szpitala o kulach, z ręką na temblaku, wszyscy chorzy, wszyscy razem. Trudno jak jest wolność, to wolność i komunizm - to wszyscy razem się bawią. Oczywiście raz jeden upadek - ten z kulami, tego ktoś szturchnął, bo hulali i hasali, muzyka grała, a nam, z góry patrzącym się na to, żal i łza się kręci, że nie ma naszych zbiorowych potańcówek. Teraz nie można tego zrobić, bo chodzili, gdzie było wesoło. Taki był sylwester z 1939 na 1940.r.

Moja siostra po przyjeździe ze Lwowa, gdzie pracowała stwierdziła, że idzie za granicę. Zebrało się paru studentów, ale złapali w Turce - moją siostrę i jeszcze jednego pana, reszta jakoś się prześliznęła. Gdy szłam do pracy przyleciał kolega do mnie i powiedział, że wywożą Hankę z więzienia w Samborze do Drohobycza. Akurat nadbiegłam na ten moment, gdy siostra siedziała na aucie ciężarowym. Pomachała do mnie z tego samochodu ręką. Żołnierz radziecki, ~~Żyd~~ uderzył ją kolbą, żeby się schyliła, aby nie było widać kogo wiązą. Potem z siostrą zawinęłyśmy do koca jej ciepłe rzeczy, trochę jedzenia i poszłyśmy na dworzec kolejowy za boiskiem "Korony". Stały tam wagony bydlęce z okienkami zakratowanymi, pełne ludzi. I wtedy siostra powiedziała do mnie - "ty nie idź, bo mogą ciebie wsadzić do tego wagonu, ja pójdę, bo mnie nie zależy" i poszła z tym pakunkiem. Wzięli ten pakunek od siostry. Później dostaliśmy list czy kartkę z Kazachstanu od siostry, żeby posłać jej buty, jakieś gumowce, bo pracuje po kolana w wodzie i bardzo jej ciężko. Potem wywiózł ją z Rosji Anders.

Zima 1940 roku była okropna - śnieg po kolana, zimno nie było czym palić. Kolejarze wioząc węgiel zrzucali bryły węgla na tory, koło cmentarza. Ludzie tam czatowali, brali węgiel i mieli czym palić. Myśmy tak samo kupili od kolejarzy trochę węgla i jakoś przebidowaliśmy tę zimę.

Z tego powodu, że siostrę wywieźli "na Sybir", to myśmy bardzo obawiali się, że nas będą też wywozić, więc mieliśmy przygotowane koce, poduszki, ciepłe rzeczy, byliśmy spakowani.

Z samego początku, jak Rosjanie przyszli, to u nas było 7 czy 8 młodych chłopców z Sanoka, którzy uciekli ztamtąd. Spali u nas na podłodze w pokoju. Później przedostali się do domu, mam wrażenie, że wszyscy, bo napisali do nas kartkę, że szczęśliwie są w domu.

Była też u nas jedna pani, nieco starsza z matką i synem. Mieszkali u nas w jednym pokoju. Ta pani chodziła stale do rosyjskiego naczalstwa starać się o wyjazd z powrotem do Sanoka. Ona chodziła, jej obiecywali i obiecywali, a ona tam nosiła to, co zabrała ze sobą - min. srebrne nakrycia i inne jakieś jeszcze rzeczy, o których nie wiem. Powiedzieli jej w końcu, żeby przyszła następnego dnia po południu, a oni rano przyjechali samochodem ciężarowym i wzięli matkę wzięli staruszkę, wzięli syna i to co my daliśmy jej do jedzenia, załadowali te ich bety na samochód i wywieźli. Było nam bardzo przykro. Wywieźli ją może dlatego, że ona miała córkę, która była zamężna, za jakiegoś wielkiego w państwie polskim. Może oni do tego doszli, może musiała mówić, gdzie jest ciotka..

Przypominam sobie takie zdarzenie - szłam na drugą zmianę do tej restauracji, w której pracowałam. W tem przychodzi taki żołnierz - nie żołnierz, cywil - nie cywil, żebym ja przyszła o drugiej godzinie do jakiegoś naczalstwa. To było na ulicy Lwowskiej. Pomyślałam sobie - "Boże, co ja zrobiłam ?" Przede wszystkim zaraz się myślało "co ja zrobiłam", dlaczego i po co mnie wołają. Naumyślnie ubrałam sobie chustkę zawiązałam pod szyję, żebym nie wyglądała, jak jakaś panna bogacka. Ubrałam się skromnie. Przyszłam tam. Naczelnik prosił mnie, żebym siadała. Ja siadłam. On spytał się, gdzie ja pracuję. Ja powiedziałam, że ~~też~~ w restauracji podaje jedzenie wszystkim ludziom, bo trzeba ludzi nakarmić. Już tym systemem mówiłam, jak oni. Więc on mówi za chwilę, że ja dobra pracownica jestem i przodownica pracy. Dał mi świadectwo. Ja byłam przodownicą pracy ! A to, że mnie nogi bolą, że nie dostawałam pieniędzy - to nieważne. Podarłam to - bardzo żałuję, bo

mogłabym na wystawę dać. Między innymi pytał się, czy mam rodzinę za granicą. Ja mówię, że nie nie mam. Zataiłam, że w Sanoku mam brata, nie mogłam przecież powiedzieć, że mam za granicą brata. Pytano się mnie o męża siostry Turskiego, który uczył dzieci w szkole. Spytano się też o brata w Samborze, czym jest. Ja odpowiedziałam, że kamieniarzem. "Czto to kamieniarz? Czy kamienie tłucze na drodze? Odpowiedziałam "da, da". Brat się cieszył, że kamienie tłucze na drodze, jak mu powiedziałam. "A siostra?" padło pytanie. "Portnaja, szyje bardzo ładne suknie dla niskich kobiet" - "A charaszo". Bardzo mnie pochwalił, dał mi tę "przodownicę pracy" i poleciałam do domu. Siostra w domu powiedziała "No wiesz, to ty jesteś tak stachanowiec, a w domu ci się nic nie chce zrobić".

To były tragiczne historie, jak oni brali ludzi do więzienia. W chwilę się dowiadaliśmy - ten zamknięty, ten wywieziony. Tylko wagony, takie świńskie szły na Syberię. Myśmy żalowali wszystkim, wspieraliśmy się - jeden drugiego, dawali znać jeden drugiemu, pocieszaliśmy się.

Siedząc na naszym oszklonym ganku patrzyliśmy się na to więzienie, co się dzieje w więzieniu. Na wiosnę 1941 roku, jak zobaczyliśmy błyski i krzyki, to wiedzieliśmy, że tam już mordują tych więźniów, których trzymali tam bezpodstawnie, bez wyroków. Mój brat jako kamieniarz często bywał na cmentarzu, bo tam pracował. Grabarzem był nauczyciel, zakamuflowany jako grabarz. W nocy przywozili zwłoki w workach z więzienia. Grabarzowi przystawiali rewolwer i mówili "mołcaj". Musiał kopać ten grób i tam dawali te zwłoki w worku. On nie wiedział kto i jak. Musiał milczeć. Po paru dniach mój brat i grabarz przychodzili i odkopywali zwłoki. Byli to przeważnie nadzy, ogoleni mężczyźni, ale mimo wszystko można było poznać. Zamordowali tak pana Wituszyńskiego, który miał sklep

radiowy w Samborze i pewnego Żyda. Później dawali znać rodzinom.

Oni już coś czuli, że nie jest w porządku i zaczęli mordować ludzi. Myśmy się strasznie bali z tego powodu, że nas też mogli wywieźć, strzelać - okropne rzeczy się działy.

Obok naszego domu, przy szkole postawili wartownika z karabinem. Wracam kiedyś o godzinie ósmej z pracy do domu. A ten kałmuk przy bramie mówi mi "Łożysia", żebym się położyła. Ja mu powiedziałam, że tu mieszkam. Wołałam wszystkich na pomoc, nikt nie nadchodzi. Ja po rusku mówię, że ja tu "żiwu", że ja tu mieszkam, a on pewnie mnie nie rozumiał. Nareszcie usłyszałam, że od strony miasta ktoś nadchodzi. A to szło czterech lotników, tych z restauracji i to wszystko wysokiej rangi. Jak oni przyszli - zobaczyli, to spytali się "Luboczka, czto diełajesz". Ja im opowiedziałam, że mnie do domu nie chcą puścić. Za ten czas matka już przyszła i czekała, żeby on mnie puścił. Lotnicy zaczęli go rugać, wygnali go stamtąd i zapewnili, że już tu nikt nie będzie stał, że możemy swobodnie chodzić do swojego domu.

Przychodzi okres - to był chyba czerwiec - że w kryminale zaczynają się dziać straszne, okropne rzeczy. Codziennie słyszymy krzyki, auta wywożą ludzi, w ogóle łapią po domach. Był taki dzień kiedy Rosjanie już wyjeżdżali, pakowali się a my słyszeliśmy strzały. Wyprowadzili więźniów na podwórze w kryminale kazali kłęczyć w dwóch rzędach i z góry bili do nich automatami. Niektórzy więźniowie uciekali przez mur, po drzewach, bo tam był olbrzymi ogród i rzeka Młynówka. Rosjanie odjechali w popłochu, bo nadleciał samolot, a nie myśleli, że to już Niemcy są. Na drzewach wisieli pobici więźniowie. Moja siostra ubrała opaskę z czerwonym krzyżem,

chodziła i pomocy udzielała. U nas, za naszymi komórkami, w takich chaszczach było 20 więźniów. Myśmy jednego wciągneli do sieni i wódką załaziło mu się ranę na piersi. Oni wszystko nam opowiedzieli, co tam się działo.

Ludzie się zeszli, potem nadeszły także wiejskie baby z ukraińskiej wsi i otworzyły więzienną bramę. W tym czasie przyjechały już wojska niemieckie. Gdy te wojska niemieckie z jakimiś oficerami zobaczyli ten kryminał i tych ludzi pozabijanych, to zaczęli wtenczas szukać. Zatrzymali te baby i zamknęli więzienie. Okazuje się, że Rosjanie w piwnicach mieli trupy zasypane żużlem z węgla, a w drugich piwnicach mieli mąkę, cukier, masło. Trzymali tam, żywność, którą ukradli a nie zdążyli wywieźć, bo ten samolot, ich samolot, ruski przeraził ich. I potem ci wszyscy ludzie, Żydzi musieli te trupy myć. W Samborze na cmentarzu był grób - może 5 metro- wy i tam kładli tych ludzi. Ukraińcy powiedzieli Niemcom, że to sami Ukraińcy były zastrzeleni. A to nieprawda, przecież oni wszyscy braли do kryminału i strzelali. Tam byli Polacy, Ukraińcy, Rosjanie i Żydzi. Pytałyśmy się jednej ruskiej kobiety, takiej młodej, która uciekła - "Co ty zrobiłaś, że twoi bracia cię zamknęli?". Ona powiedziała, że miała coś 50 rubli manka w kasie i ją zamknęli. Ten co miał ranę, to był Ukrainiec, gospodarz ze wsi ^{Kotów} Radkowiec. Myśmy dali znać rodzinie i oni go później zabrali. Tym ludziom, tam w krzakach dawaliśmy w takim baniaku, w którym bieliznę się gotuje, kawę, wodę, kartofle do jedzenia. Oni się bali z początku wychodzić z tych krzaków, ale jak zobaczyli, że Niemcy nie reagują, to wyszli. Nie wiem, co się z nim potem działo.

Na naszym podwórzu mieli kuchnię polową Słowacy. Jak się dowiedzieli, że moja matka pochodzi z Czech i mówi po czesku, to byli

bardzo zadowoleni, że mogą się porozumieć.

To, co oni gotowali, to był zawrót głowy. Oni nawet pieczeń wieprzową do piekarza nosili i knedle czeskie robili. Jak myśmy nie mieli korzystać z tego jedzenia...? Wszyscy byli syci, bratowej rodzina - 4 dzieci matka miała - z banką po zupę przychodziła. Obiecywali, że Ruskich postrzelają. Myśmy im wierzyli, tylko niestety stało się inaczej.

Naprzeciw naszego domu w Kamienicy mieszkał ociemniały profesor z żoną. Oni także codziennie dostawali garnuszek zupy mięso i jakieś kluski. Na przykład przychodził do brata kucharz słowacki i mówił "Wicek chodź tutaj i zobacz - masło zepsuło się i oficer kazał wyrzucić". Pokazywał 20 kilogramową skrzynię masła, odchyłał deseczkę i mówił "Popatrz się - takie żółte na rogu. Idź wyrzucić to, albo zakop, bo ja nie mam czasu". Brat wziął to masło, stopiliśmy je do butelek i słoików, tak że cała rodzina miała masło topione. Tak samo ryż. Powiedział, żeby wziąć worek ryżu, bo zamókł. To na strychu na przescieradłach ryż się suszył i później znowu każdy z torbą przychodził i dostawał ryż. Nie mogę powiedzieć - od Ruskich nie doświadczyliśmy tego, co doświadczyliśmy od Niemców. Innym razem oficerowie słowaccy przyszli z Niemcami i prosili matkę, czy mogą sobie zrobić w pokoju towarzyskie spotkanie. Było 2 Niemców i reszta Słowacy. Chcieli mnie zaprosić, ale powiedziałam, że nie mogę. Matka kopła mnie po nogach, żebym do nich nie poszła, a mnie nie były w głowie ani zabawa, ani chodzenie. To było jeszcze latem 1941, gdy słowacy stacjonowali w szkole. Kilku żołnierzy poszło się kąpać nad Dniestr. To była piękna rzeka, czysta woda, kamyki było widać. Gdy przyszli - jeden wymiotował, a drugi zielony jak trawa. Spytaliśmy, co się stało okazało się, że

dla tego Niemca i jakieś palto, które kupiła od kogoś dla syna, którego wywieźli do Niemiec i pojechała do Drohobycza. W połowie drogi partyzanci wysadzili szyny i ona na piechotę musiała iść do Drohobycza. Jak przyszła to w Drohobyczu Niemcy się pakowali i ten Niemiec ze złością spytał się "Ty teraz tu przychodzisz". Nie pozwolił jej już wogóle zobaczyć się z siostrą. Próbowała się dowiedzieć czy Niemcy więźniów strzelali czy wywieźli. Okazało się, że więźniowie pozostali w kryminale. Następnego dnia wkroczyli Rosjanie, ale my nie mogliśmy się dowiedzieć, czy siostra żyje, czy nie żyje.

Później się okazało co się wydarzyło. Gdy brat jechał z Sambora na zachód do Gliwic to w Rzeszowie ich pociąg mijął się z drugim pociągiem i z tego pociągu jakiś wojskowy rosyjski zawołał mojego brata po nazwisku i krzyknął, że "u nas taka pracuje - krzywą ma nogę, żyje i pracuje u nas". To była ostatnia wiadomość. W tej chwili moja siostra miała 97 lat. Pisałam do Czerwonego Krzyża - ale nikt nic nie wiedział. Prawdopodobnie Rosjanie wzięli wszystkich więźniów i zawieźli do Rosji. Było nas w domu dziesięć
ro, *wszystko...*

(*)

Po wkroczeniu Rosjan przyszedł do nas na kwaterę rosyjski lekarz ze szpitala który mieścił się w pobliskiej piętrowej szkole. Nazywał się Czumaków i mieszkał w kuchni. Przychodzili do nas dwa razy rewizję robić, bo mieliśmy majątek, bo u nas Żydzi byli. Przecież Rosjanie o tym nie wiedzieli. Powiedziała, doniosła im o tym jedna Ukrainka. Dwa razy przepędził ich ten lekarz wojskowy - starszy, poważny człowiek.

Pewnego razu przyjechał do nas i u nas nocował kuzyn siostry, który miał w Turce sklep. Miał dużo gotówki, bo sprzedawał sklep i od razu zarejestrował się na wyjazd do Polski.

Matka nie chciała wyjeżdżać, w końcu ją wyrejestrowałam. Tylko ja byłam zarejestrowana.

W tym dniu, w którym przyjechał ten pan Świsterski z Turki wieczorem graliśmy w karty w "21" /grałam pierwszy raz i miałam szczęście w kartach/, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Bratowa otworzyła. Wszedł jeden w cywilu, drugi wojskowy z karabinem. Zabrali mnie i pana Świsterskiego na NKWD.

Gdy się ubierałam moja bratowa włożyła mi do zarękawka ciepłego płaszcza papierosy a do ręki dała mi kartę repetriacyjną. Zaprowadzili nas na NKWD. Tam w jakimś pokoju siedzieli ludzie, wszyscy znajomi. Jeden z nich wojskowy, sierżant powiedział mi po cichu /żeby nikt nie słyszał/ żebym powiedziała, że on tu siedział /gdybym oczywiście wyszła/. Był tam też p. Świechło sąsiad, którego znałam i jakieś kobiety. W pewnej chwili zauważyłam, że ta pani Ukrainka, która nasyłała na nas rewizje, w lisie takim, zaglądnęła i kiwnęła głową widząc mnie. No więc ja już wiedziałam, że jestem w domu, kto i co to się robi. W końcu zawołali mnie na górę.

W pokoju niczego nie było tylko biurko. Na tym biurku siedział oficer. Obok niego stał talerz pełen niedopałków z papierosów. W kącie stała duża, żelazna skrzynia. Jak ją zobaczyłam, to się przestraszyłam, bo pomyślałam sobie, że mnie będzie chciał wsadzić do tej skrzyni. Wszystkiego się mogłam spodziewać.

Tymczasem on mi każe siadać i pyta się, czy ja wiem, kto był folksdojczem. Ja powiedziałam, że nie wiem i że oni powinni prędzej wiedzieć kto był folksdojczym. Ja ani moja matka, ani nikt z mojej rodziny nie był folksdojczem. Ale on się spytał dlaczego pracowałam u Niemców. Odpowiedziałam, że ja i u Ruskich pracowałam. Taka gadka była przyjemna. On chciał zapalić i wyszukał niedopałka.

Wtedy ja wyciągnęłam z satysfakcją papierosy i zapaliłam, ale jego nie poczęstowałam. To on wtenczas coś mi powiedział i ręką trzasnął w stół, zebrałam się na odwagę i też wrzasnęłam "Ty do mnie nie kryczy", a on "Kakaja ważna". To ja wyciągnęłam kartę repartycyjną i powiedziałam mu.

"Masz, ja jestem Polka". On przeczytał i powiedział "No to ujeżdżaj, żebym ja Ciebie więcej nie widział". To ja w podskokach prędko poleciałam.

Jak ja rano poszłam do kościoła podziękować Panu Bogu, że jeszcze żyję, to wszystkie koleżanki, które wiedziały, że mnie zabrało NKWD, się cieszyły. Po powrocie zaraz poszłam matkę zarejestrować. Powiedziałam: "Nie ma żadnego rozstania. Jedziemy wszyscy i koniec". W tym punkcie repartycyjnym, w którym byli Ruscy i Polacy, jeden dostał aparat fotograficzny, drugi , po to, żebyśmy tylko jak najprędzej wyjechali.

W marcu przed wyjazdem miało miejsce jeszcze jedno zdarzenie. Pewnego dnia szłam z kościoła do domu. Sprzedałam jakieś garnki i kupiłam 2 wianki cebuli. Przed kamienicą adwokata, w której było wojsko rosyjskie stało auto, a przy nim na progu jakiś starszy oficer rosyjski. Na tym samochodzie byli jeńcy węgierscy. Gdy ja dochodziłam do tego samochodu oni wyciągnęli ręce i prosili o tę cebulę. Wzięłam wianek i rzuciłam na to auto. Chciałam rzucić drugi ale mnie ten wojskowy chwycił za rękę i spytał się: "Komu ty dajesz". Odpowiedziałam, że jeńcom "Ale to wróg". Ja na to - jaki wróg, taki biedny. To on zawołał żołnierza z takimi skośnymi oczami, z długim karabinem i powiedział do niego, żeby mnie zaprowadził na "wokzał". Miałam duszę na ramieniu i modliłam się do Boga, żeby nadszedł ktoś znajomy. I nadeszła brata kolegi bratowa. Poprosiłam ją, żeby poszła ze mną na dworzec. Odpowiedziała, że coś wymyśli. Dotarliśmy do parku,

Ona wtedy zaczęła mówić do niego, żeby przyszedł do niej, bo ona ma wódkę i kiełbasę. Ale on nie - "prikaz". Weszliśmy do parku poszliśmy główną aleją, która dochodziła do boiska "Korony", skąd jedna uliczka prowadziła do domu. Ona powiedziała wtedy "teraz", złapała go za rękę i karabin, zapakowała 200 rubli do ręki a ja w nogi. Robiłam "stumetrówkę" w wysokich gumowych butach na obcasie. Przyleciałam do domu, a później oddałam tej znajomej pieniądze.

Na drogę podstawili wagony świńskie. Jechaliśmy z drugą rodziną. Mieliśmy w wagonie piecyk z rurą. Co to była za jazda. Naszą pościel, wszystkie materace z łóżka ułożyliśmy z tyłu. Na tym siedziała matka - 12 dni nie schodząc stamtąd. W Samborze była u Tygiera rafineria spirytusu. Jak się wojna kończyła, to ludzie ją rozbili i można było kupić spirytus. My chodziłyśmy na rynek sprzedawać rzeczy, które były nam niepotrzebne. Wiejskie kobiety kupowały wszystko. Siostra kupiła jajka i zrobiła z nich i ze spirytusu "ajerkoniak" - było coś 10 butelek. ^oDwało się to maszynistom, a oni dawali nam węgiel, którym paliliśmy w tym piecyku. Przyjechaliśmy do Łańcuta, bo szwagier był z siostrą w Łańcucie. "Wygruzili" nas i dali nam pokój w klasztorze. Zakonnice zabiły nam klozet, żebyśmy nie chodzili do klozetu.

Moja siostra - wdowa była energiczna poszła do zakonnice i się spytała, co to znaczy i gdzie my mamy chodzić...

Wzięła młotek i odbiła deski. Potem szwagier pojechał do Gliwic, ^oz myśmy przeprowadzili się do ich mieszkania.

Relacje nagrat: opielowat
Gnepon Itylik

Ludmiła Mriatowicz

k. 13-15 usunęte przez p. Urzędowik v takwe ontoryteji, ktc kartody
Urządowe.